WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

Nr 47 (61)
Rok II
25 XI 1963 r.

KAZIMIERZ GRZYBOWICZ
WINCENTY ZAWIRSKI

JESZCZE NIE STAŁO SIĘ CIAŁEM

To doprawdy zastanawiające. Bodaj od roku 1949 Rzeszów nie miał ani jednego debiutu książkowego młodych. Nie miała tego ziemia o bogatych tradycjach literackich, ta ziemia, co wydała Jana Wiktora, Juliana Przybosia, Wilhelma Macha — wielce w literaturze zasłużonych. Swoisty exodus lat pięćdziesiątych (a także nieco wcześniejszych) sprawił, że na literackiej mapie kraju przybyło białych plam, naturalnie biorąc twórczy dorobek rzeszowian, a nie środowisko z wszystkimi korzystnymi właściwościami, którego nigdy nie było. Wprawdzie od tego czasu zadebiutowało wielu rzeszowian (Górnicki, Zych, Lenart, Kawalec) bądź też weszło lub dało o sobie znać na forum literackim (Roman Turek), niemniej fakt ten prawie każdorazowo wpisywano na konto innych środowisk i miast. Rzeszów pozostał na uboczu, za ostatnim południkiem twórczości literackiej i nie liczy się zupełnie na ogólnopolskiej giełdzie. Bo i nie może się liczyć. Przecież, na dobrą sprawę, niewiele ludzi interesuje, kto i z jakiej wywodzi się wsi i np. żadna zasługa Gwoźnicy, że się tam urodził Przyboś. Bardziej istotne jest natomiast to, w jakim środowisku tworzy i jakiemu, w sensie doraźnym, służy. Mimo licznych bibliotek, mimo wielkich edycji, upowszechniania kultury, transmisji nowatorskich i całego systemu, dobrego dla powstawania zjawisk kulturotwórczych — korzyść dla naszego miasta byłaby większa, gdyby Przyboś urodził się w Warszawie, a tworzył w Rzeszowie niż odwrotnie (przypomnimy, że Joseph Conrad był Polakiem, ale pozostał pisarzem angielskim).

To fakt.

Ostatnie dwa lata przyniosły w tym względzie pewne ożywienie: wspominano o tym w czasie Zjazdu Pisarzy Ziemi Rzeszowskiej, a właściwie Zjazdu Pisarzy urodzonych na Rzeszowszczyźnie; podkreślano jednak, zwłaszcza w rozmowach kuluarowych, że to, co dzieje się obecnie w wojewódzkim centrum (powiedzmy inaczej: to, co trwa) nawet trudno nazwać zalążkiem środowiska literackiego.

Rzeszów, jak wiadomo, nie posiada oddziału Związku Literatów Polskich. Przebywa na naszym terenie dwóch członków ZLP i trzech początkujących prozaików, nie objętych ani zawodową organizacją pisarzy, ani Korespondencyjnym Klubem Młodych, skupiającym w Rzeszowie 22 młodych poetów.

Sądząc z głosów, które przed niedawnym czasem dość głośno o tym rozpowiadały, zalążkiem środowiska miał być podobno Korespondencyjny Klub Młodych, działający pod auspicjami Związku Młodzieży Wiejskiej. Nie ulega wątpliwości, że stało się wtedy słusznie i chyba dosyć szczęśliwie, iż ZMW zajął się całością (czy nurtem) ogólnego ruchu kulturotwórczego młodych na prowincji i nadał mu taki właśnie klubowy kształt. Bo nawet przyjmując, że po niesławnym upadku kół młodych przy Związku Literatów Polskich, wszyscy stawiający w literaturze pierwsze kroki zostali pozbawieni pożytecznej opieki i mecenatu pisarzy doświadczonych, że na domiar wywlekanym głośno przeciwnościom zmniejszyły się możliwości publikowania prób literackich, w co osobiście nie wierzymy — to jednak trzeba podkreślić, że często dawał się odczuwać brak rzetelnej i fachowej oceny, zrozumienia, o które trudno w powiatowym miasteczku i na wsi.

Uwzględniając powyższe, wydaje się, że intencje ZMW oparły się na słusznej teoretycznie platformie organizacyjnej. Przede wszystkim stworzyły możliwość zaopiekowania się najzdolniejszymi i najbardziej pracowitymi adeptami pióra, ułatwiły im start, bez niezdrowego podniecania szansą kariery literackiej, to pierwsze. Po drugie, jak to kiedyś w dyskusji prasowej zauważył trafnie Bronisław Gołębiowski, „ludziom nie rokującym nadziei literackich forma klubów pozwala odejść od pisania do działania kulturalnego, upowszechnia-

(Ciąg dalszy na str. 3)

JÓZEF KURYLAK

* * *

Płacz brzozy nocą. Ręce snu,
na rękach mojej twarzy kształt.
Powrócić. Patrzeć. Tak. To tu.
Kamień. Noc. I wiatr.
Kto czeka. Kto otwiera dni
jak nocą sierpnia ciemny blask.
Noc zatrzasnęła czarne drzwi.
Nie pukać. Odejść. Czas.

* * *

BRATU

te drzewa uwięzione w szkle
gdy w suchej trawie gorąc krzepnie
przez sól przecieka lepka czerń
i pusta muszla pachnie sierpniem
te drzewa uwięzione w szkle
i pies co drogą snu się błąka
gdy sól ostyga w gorzką łzę
pleśnieje czas w rozwartych konchach
na traktach szkło jak ciężko iść
noc wszystko dotknie choć jest ślepa
nożem jesieni ścięty liść
jak ja — pędzący pociąg w przepaść

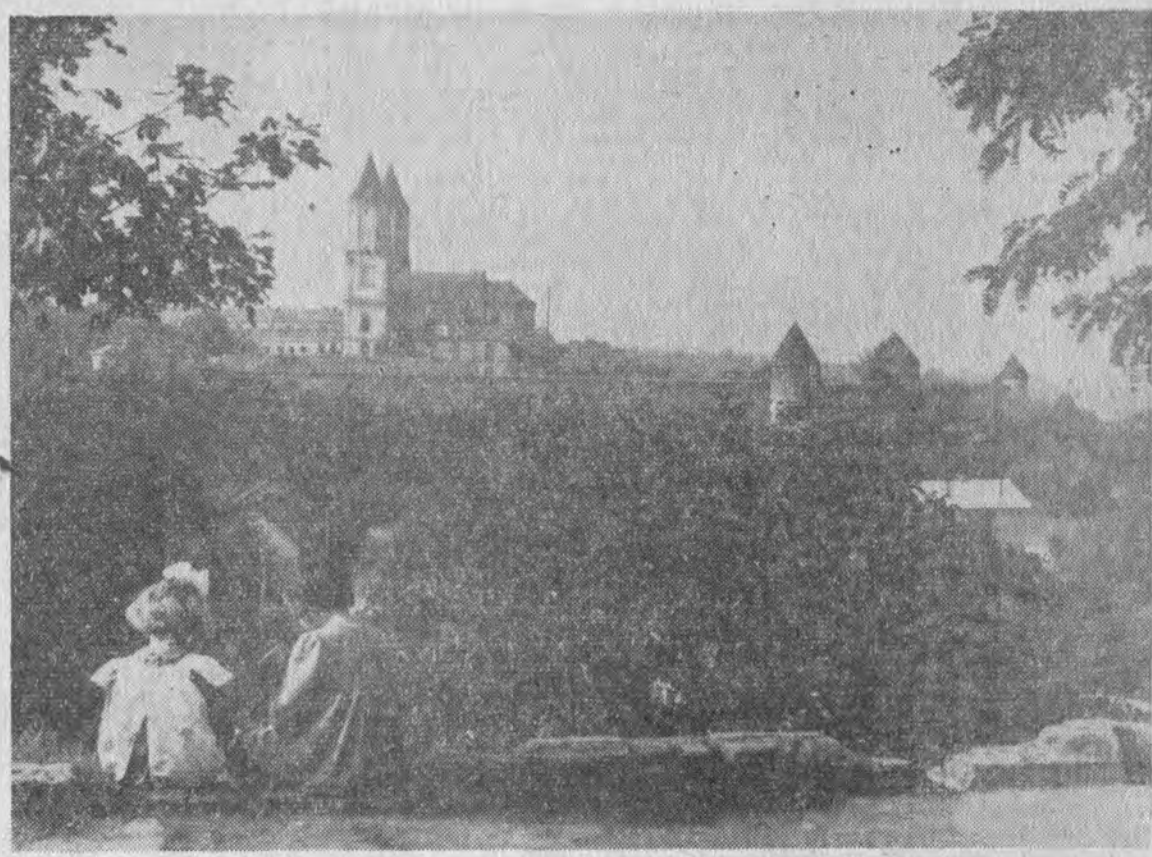

JAROSŁAWSKI PEJZAŻ *Fot. Zdzisław Postępski*

WITOLD SZYMCZYK

STALAG 327

SŁYSZYSZ? ZNÓW IDĄ?

Kobieta wypowiedziawszy te słowa uniosła się w pościeli i z trwogą spojrzała ku oknu. Z daleka dochodził zrazu cichy, potem coraz głośniejszy szurgot tysięcy nóg, przerywany ostrymi krótkimi wrzaskami: — Los! Los! Szurgot stawał się wyraźniejszy, bliższy, okrzyki rozbrzmiewały niemal tuż za płotem.

Mężczyzna przeszedł przez ciemną, nieoświetloną izbę, stanął przy framudze okna i ostrożnie wyjrzał na ulicę.

— Gnają ich znowu — powiedział cicho.

Za oknem widać było przewalający się tłum ludzi, nad którym w różnych odstępach sterczały osadzone na karabinach bagnety eskorty. Wrzask „los, los!" rozległ się raptem niespodziewanie głośno, a w ślad za nim huknął strzał jeden i drugi.

— Boże — jęknęła kobieta, znów mordują! Tyle ludzi na zatracenie! I po chwili: — a odejdźże od tego okna bo jeszcze jakiejś biedy napytasz!

Mężczyzna jednak ani drgnął. Patrzył na tragiczny pochód ze skamieniałą, zaciętą twarzą.

Podobnie, wstrzymawszy oddech spoglądały w takie noce zza okiennych szyb całe Pełkinie. Tupot nóg przewalał się godzinami z jednego krańca wsi na drugi, wrzeszczeli konwojenci, rozdzierały nocne ciemności wystrzały ich karabinów.

Rano, chłopi wychodzili z domów i liczyli ciemne, zakrzepłe kałuże krwi na drodze. Czasem było ich siedem, dziesięć, czternaście, czasem dziewiętnaście czy nawet trzydzieści. Były to ostatnie ślady po ludziach, którzy jeszcze kilka godzin przedtem żyli i oddychali tym samym powietrzem co i wszyscy, a teraz przysypani cienką warstwą ziemi spoczywali we wspólnych mogiłach obok wiejskiego cmentarza. Zdarzało się, że trupy leżały na szosie do rana i zabierano je już w dzień.

Czasem kolejne transporty prowadzono do obozu w samo południe. Wygłodzeni, przemęczeni jeńcy drogę ze stacji kolejowej w Jarosławiu do Pełkiń pokonywali z wielkim wysiłkiem, a dla wielu była to droga ostatnia. Nadeszła fala upałów i przejść kilkanaście kilometrów dla ludzi, którzy od kilku dni nie mieli nic w ustach, ludzi zmaltretowanych, osłabionych, nieraz ciężko rannych — było męczarnią. Szli podtrzymując się wzajemnie, wynędzniali i nieludzko zmęczeni.

— Prosili czasem cicho: matuszka wody, wody — więc sąsiadka postawiła wiadro z wodą ze studni na gościńcu — mówi Sznajowa. Ale jak tylko któryś z jeńców zbliżył się do niego, Niemiec krzyknął swoje „los" i już zdejmował karabin z ramienia. Potem kopnął wiadro, wylewając wodę, a sąsiadce pogroził pięścią.

— Dałam kiedyś jednemu dwa jabłka — opowiada Katarzyna Sobolowa. Cóż to za grzech dać dwa jabłka człowiekowi, co idzie taki szmat drogi głodny i widzi, że cały czas drzewa uginają się od owoców? A wtedy Niemiec złapał mnie za ramię i wepchnął do szeregu. Musiałam maszerować razem z ruskimi, nie wiedząc co mnie czeka. Dopiero 300 metrów przed obozem wrzasnął na mnie wartownik: raus! i wypędził do domu.

— Żona podała jeńcom chleb — wspomina Kazimierz Kic z Kruhela, to konwojent skoczył do niej z bagnetem, a chleb odebrał.

— Z szeregów nie wolno było wyjść nikomu — mówi przewodniczący Prezydium GRN Kowal. Kto upadł lub pozostał w tyle choć na moment, padał z przestrzeloną głową lub piersią. Kiedyś pewnemu jeńcowi rozwiązał się owijacz. Przyklęknął na chwilę, by go sobie poprawić i nie wstał więcej. Konwojenci strzelali celnie. Ludności nie wolno było zbliżać się do maszerujących, podawać chleb, wodę czy papierosy. Zostawiano więc żywność na drodze lub ukradkiem rzucano w szeregi.

* * *

Druty rozciągnięto w Pełkiniach jeszcze w czerwcu przed napadem III Rzeszy na ZSRR. Pierwsze transporty jeńców radzieckich nadeszły w lipcu 1941 r. Stalag 327 — bo tak oznaczono obóz, rozłożony był na obszarze 50 hektarów. Hitlerowscy spece od planowania przewidzieli dwa podobne obozy w Wólce Pełkińskiej, ale później z jednego zrezygnowali.

Warunki życia w obu obozach były straszliwe. Przez pierwsze dni nie dawano jeńcom jedzenia, a i później te ochłapy, jakie otrzymywali nie zaspokajały głodu. Najpierw zjedzono wszystkie, pozostałe na zabranych pod obóz polach, buraki, później przyszła kolej na trawę.

Baraki zbudowano tylko dla komendy i załogi obozu. Jeńcy mieszkali w wykopanych w ziemi norach przykrytych deskami. Za posłanie służyła garść słomy. W ziemiance takiej mieszkało po 30 osób, a gdy nadchodziły nowe transporty, to i dwa razy tyle. Obóz był przejściowy i liczba jeńców stale się w nim zmieniała. Bywało, że dochodziła do 33 tys. ludzi.

Ogółem przez obozy w Pełkiniach i Wólce Pełkińskiej przeszło około 100 tys. osób. Odchodziły stąd transporty do lagrów rozsianych po Niemczech i Polsce m. in. do obozu w Rymanowie. W ciągu dwu lat istnienia obu obozów tysiące jeńców — w Jarosławiu oblicza się ich na ponad 7.000 — pozostało w Wólce i Pełkiniach na zawsze. Zginęli w czasie transportu, z głodu, w obozie, rozstrzeliwani masowo w położonym na wschód od Jarosławia Koniaczowie.

* * *

W obozie byli jeńcy z różnych krańców Związku Radzieckiego. Ludność opowiada o więzionym tu generale radzieckim, którym „opiekował się" specjalny wartownik. Później generał zniknął. Opowiadano, że do obozu przybył oficer niemiecki, który kiedyś studiował razem z tym generałem w Wiedniu. Niemiec ten zdradził żydowskie pochodzenie generała, którego wkrótce potem rozstrzelano.

Znajdowali się tu także Polacy, którzy aczkolwiek nie służyli w Armii Radzieckiej, zagarnięci przez Niemców na terenie za Sanem, zbiegiem okoliczności trafili do o-

(Ciąg dalszy na str. 2)

STALAG 327

(Ciąg dalszy ze str. 1)

bozu. Wiadomo, że na początku znaczną część obozowej służby zdrowia stanowili polscy lekarze, felczerzy i sanitariusze. Większość z nich wydostała się z obozów w piewszym okresie ich istnienia, kiedy ucieczki były łatwiejsze i masowe.

Początkowo Niemcy pozwalali zabierać jeńców do różnych prac, co ludzie wykorzystywali, by masowo ich dożywiać i pomagać w ucieczkach. Jedno- i dwuhektarowi gospodarze zgłaszali się do niemieckiej komendantury z prośbą o 20 30 „robotników", a potem biedzili się jak nakarmić tylu wygłodniałych mężczyzn. Jeńcy ci dostarczali także żywność do obozu i przygotowywali plany ucieczek. Później Niemcy odebrali uwięzionym i tę łączność ze światem.

* * *

Mimo to nie było nocy i ranka, by ktoś w Pełkiniach lub Wólce nie znalazł w stodole, oborze czy w stogu ukrytego zbiega z obozu.

Michał Sznaj, o którym jest mowa na samym wstępie tego artykułu, znalazł jeńca w zakamarku jednego z budynków gospodarczych. Tamten był tylko w spodniach i koszuli.

— Bracie, daj jakiś cywilny łach na grzbiet — prosił — i powiedz, gdzie tu można uciekać.

Co było robić? Wyniósł Sznaj starą kurtkę i buty, wskazał niespodziewanemu gościowi drogę do Sanu, a później modlił się, by go Niemcy nie złapali. Za obdarowanie jeńca cywilnym ubraniem groziła kara śmierci.

Józef Gwóźdź odkrył zbiega w ogródku tuż przy drodze, którą przechodzili Niemcy. Jeniec był przerażony i błagał o ratunek, bojąc się jednocześnie, by Gwóźdź nie wydał go Niemcom.

— Dobrze człowieku — mówił chłop — ale chodźże do stodoły, bo tu cię w każdej chwili mogą złapać.

Tamten nie chciał się ruszyć z miejsca. Bał się zasadzki.

— No więc jak, uciekasz czy nie? — pyta Gwóźdź.

— Tak, ale ty musisz mi pomóc. Błagam cię pomóż mi. Dam ci za to złoty pierścionek. O, widzisz, ukryłem go przed wszystkimi rewizjami.

— Nie ma mowy o żadnym pierścionku. Jeszcze ci się przyda na chleb w czarną godzinę. Chodź, ukryjesz się w stodole.

Wieczorem poszli obaj do Sanu. Jeniec bał się iść w ciemność, więc przekazał go Gwóźdź przewoźnikowi Józefowi Kajderowi. Rosjanin przedostał się do swoich i w 1944 roku z frontowymi oddziałami radzieckimi wrócił w te okolice. Odwiedził Kajdera i serdecznie dziękował za pomoc. Wybierał się do Gwoździa, ale rozkaz rzucił go w inną stronę.

To był pierwszy jeniec Józefa. Później nocne wyprawy zdarzały się często. Kiedyś przyprowadził mu uciekiniera Józef Kowal, ojciec obecnego przewodniczącego Prez. GRN, innym razem Gwóźdź wraz ze swym podopiecznym natknęli się na patrol niemiecki i długo uciekali, myląc pogoń.

Mieszkańcy Pełkiń pomagali nie tylko tym zbiegom, którzy trafili do ich zagród. Właściciele pól graniczących z obozem wywozili jeńców ukrytych w snopach zboża. W 1942 roku w obozie zorganizowano ucieczkę na wielką skalę. Przecięto druty w południowej części lagru i liczna grupa jeńców uciekła do lasu. W Pełkiniach mówi się, że w ucieczce tej pomógł jeńcom zamordowany później przez Niemców jeden z mieszkańców wioski, który miał poprzecinać druty i pomóc uciekinierom w wydostaniu się do lasu. Kilku z nich trafiło do polskich oddziałów partyzanckich, inni utworzyli własną grupę zbrojną.

Na przełomie lat 1942/1943 Niemcy przystąpili do likwidacji obozu. Zdrowsi jeńcy ruszyli do nowych miejsc kaźni. Tych którzy nie mogli iść o własnych siłach, zamordowano w Koniaczowie. Do Pełkiń za jakiś czas nadeszły nowe transporty ofiar — tym razem Żydów.

WITOLD SZYMCZYK

(Za tydzień: „W niechciałkowskim lesie).

Oto obrazy jakże często oglądane w latach 1941 i 1942 przez mieszkańców Jarosławia, Kruhela, Pełkiń i Wólki Pełkińskiej. Kolumny jeńców radzieckich przemaszerowują ulicami Jarosławia ze stacji kolejowej do obozów, które dla tysięcy spośród nich staną się miejscem kaźni.

(Zdjęcia ze zbiorów Referatu Historii Partii KW PZPR w Rzeszowie).

ZNISZCZONY MOST Fot. H. Kopyściński

BEZ POMPY

Nie jestem zwolennikiem celebrowania jubileuszy. Przeciwko mnie jest jednak tradycja. W równych odstępach czasu, powiedzmy co pięć lat, odbywa się nabożeństwo, które do złudzenia przypomina poprzednie, z tym, że w podsumowaniach, gloriach i podziękowaniach pojawiają się nowe cyferki uzupełniające statystyczne szablony, a w złotej księdze pamiątkowej po stronie ma wpisuje się osiągnięcia pięciolecia, by po upływie następnej passy mogły służyć mówcom jako materiał wyjściowy i porównawczy. I tak w koło Macieju kręć wrzeciono kręć. Nie zaprzeczam, takie jub(i)l(eusz)e mają niekiedy sens.

Przykład. Państwowa Szkoła Muzyczna w Jarosławiu w ramach Tysiąclecia Państwa Polskiego przypomina o XV-leciu swego istnienia. W 1957 roku placówka ta obchodziła jubileusz X-lecia pracy. Po odrzuceniu wszystkich imieninowych rekwizytów obydwu uroczystości pozostaje sprawa propagandy kultury muzycznej, która w Polsce wcale nie jest najwyższa. Z tego względu ogniskowanie opinii publicznej na zagadnieniach rozwoju życia muzycznego, nawet za pomocą jubileuszowej pompy nie może budzić sprzeciwu.

Nie każdy bowiem pamięta, że w lipcu 1944 roku, zaraz po wyzwoleniu Jarosławia przez wojska radzieckie, oddani wielbiciele Polihymnii przystąpili do zorganizowania Towarzystwa Miłośników Muzyki oraz szkoły, w której podjęli pracę wybitni pedagodzy m. in. Martynowicz, Mikuszewska, Kisielewska. Mimo odpływu kadry pedagogicznej po wyzwoleniu reszty ziem polskich, w Jarosławiu powstaje Orkiestra Symfoniczna Związku Nauczycielstwa Polskiego, a skromna filia prywatnej szkoły muzycznej w Przemyślu, z czterema zaledwie nauczycielami, gnieżdżąca się w dwóch izbach lekcyjnych i maleńkiej salce koncertowej, przeobraziła się w 1947 roku w Państwową Szkołę Muzyczną. W okresie piętnastolecia jarosławska PSM systematycznie rozwijała się, nie pozostając bez wpływu na kształtowanie kultury muzycznej środowiska.

Nie będę podawał dość znamiennych cyfr i zestawień, zrobili to nienagannie ci, którym w udziale przypadł zaszczyt przemawiania na uroczystości jubileuszowej — zwrócę jedynie uwagę na społeczny program szkoły.

Modne jest dzisiaj słowo „upowszechnianie", chociaż nie zawsze, szczególnie w dziedzinie kultury pojmuje się je we właściwy sposób i za tym transparentem skrywa się coś, co zwykło się nazywać kulturą masową. Inne ambicje ma jarosławska PSM. Kładzie ona nacisk na powiązanie swej pracy z życiem środowiska. Tym tłumaczą się częste koncerty uczniów i absolwentów szkoły, nie tylko w miejscowym domu kultury, lecz również w małych miasteczkach i wsiach powiatu jarosławskiego, tym tłumaczy się współpraca z Państwowym Ogniskiem Baletowym w realizacji programów muzyczno-tanecznych i współudział w występach Międzyszkolnego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych. Ponadto od sześciu lat szkoła organizuje stałe występy Orkiestry Symfonicznej z Rzeszowa. Dzięki inicjatywie tej placówki powstały również społeczne ogniska muzyczne w Lubaczowie, Sieniawie, Radymnie, Pruchniku i w Jarosławiu. Rozwija w nich swą wrażliwość muzyczną około 200 uczniów. Wszystko to dzieje się niezależnie od programu nauczania. O tej społecznej działalności szkoły warto pamiętać niezależnie i mimo jubileuszowej pompy (ssącej pieniążki). Bo osiągnięcia osiągnięciami, a panie tego, tradycja święta rzecz.

CZESŁAW KŁAK

Ja cię nauczę...

Gdyby Fredro żył w dzisiejszych czasach, kto wie czy akcja „Zemsty" nie toczyłaby się właśnie w Strzyżowie, lub w jednej z miejscowości tego powiatu. Sceneria, tło, przyczyny konfliktu wyszydzone we wspomnianej komedii pasują jak ulał do wielu przykładów, którymi dysponuje tamtejszy Sąd. Przykładów bądź co bądź nietypowych, rozśmieszających do łez, dziwnych i zaskakujących.

SCENA PIERWSZA

Miejsce konfliktu: Strzyżów. Kawał muru. Granica realności Katarzyny Górnickiej i Apolonii Górnickiej. Zbieżność nazwisk wskazuje na pokrewieństwo. Istotnie, jedna z nich była siostrą męża drugiej. Piszę — była — bo mąż zmarł. Wiadomo skądinąd, że stare ludowe przysłowie może złośliwie, ale najdosadniej określiło stosunki współżycia wśród krewnych. „Broń mnie panie Boże od wrogów i najbliższych". Racja? Wybaczcie, że nie odpowiem. Ja także mam krewnych.

Nie jest tajemnicą, że obie panie nie pałały do siebie specjalną miłością. Wspólne sąsiedztwo jeszcze te stosunki bardziej zaogniało. Temistokles sprzedając grunt kazał pośród warunków sprzedaży obwieścić również, że ma także porządnego sąsiada. Od starożytności nic się pod tym względem nie zmieniło. Kiedy pani Apolonia przebywała w swoim ogrodzie słuchając szczebiotu ptaków, pani Katarzyna rad nie rad musiała siedzieć w mieszkaniu, bo nie chciała się spotkać oko w oko ze swoją krewniaczką. Kiedy z kolei pani Katarzyna przypadkowo zetknęła się w kruchcie kościelnej z panią Apolonią, maczając palce w kropielnicy odwracała głowę udając, że obserwuje pozłacane posążki aniołków.

Konflikt tlił się i tlił niczym próchno, podsycany z byle jakiej okazji i z byle jakiego powodu, aż wreszcie strzelił jasnym płomieniem. Doszło do spięcia. A stało się to w ostatnich dniach maja 1960 r.

„Ja cię nauczę" — powiedziała pani Katarzyna, siedemdziesięciokilkuletnia, lecz jeszcze pełna werwy, i zaskarżyła krewniaczkę do Sądu. Panią Apolonię i jej zięcia — Władysława Krypla. O co poszło? Drobnostka. Po prostu głupstwo. Pani Katarzyna zrobiła jednak z tego problem. I to jeszcze jaki problem.

Ogrody i budynki sąsiadek oddziela betonowy murek i stalowa

Jeszcze nie stało się ciałem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nia literatury, na ogół bez załamań i gorzkich klęsk życiowych".

Otóż takie właśnie niebagatelne momenty legły u założeń programowych Korespondencyjnego Klubu Młodych, kiedy tę — że pozwolimy sobie użyć dzisiaj tego określenia — instytucję powoływano do życia i kiedy jej przedstawicielstwo tworzono przed dwoma i pół laty w Rzeszowie. Dziś KKM skupia w kraju ponad 700 piszących (niektórzy zdobyli już nagrody twórcze, stypendia i wydania książkowe). Ale dziś KKM nie jest już tym zwykłym KKM, tym nieautonomicznym, tym nie prowadzącym do getta literackiego nurtem działania młodzieży, pomyślanym m. in. przeciwko wynaturzeniom twórczym; jest już Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy.

Owa drobna zmiana jest sprawą pozornie mało ważną i nie wartą momentu uwagi, w gruncie rzeczy zaś świadectwem nie zawsze mających pokrycie tęsknot i próbą, powiemy otwarcie: megalomańską próbą wchodzenia w zakres zawodowej organizacji pisarzy — Związku Literatów Polskich.

Rzeszowski ośrodek KKMP (więc to, co uważane jest za podstawę środowiska literackiego) gromadzi 22 poetów. Od czasu do czasu publikują oni swoje utwory na łamach „Widnokręgu", w programie rzeszowskiej rozgłośni Polskiego Radia, niekiedy w pismach centralnych i regionalnych. Zarówno „Widnokrąg" jak i Radio wykazują dużo potrzebnego zrozumienia dla działalności młodych: raz po raz publikowane są kolumny i odcinki poetyckie. Kilku młodych przygotowało się już do debiutu książkowego i oczekuje kolejki w wydawnictwach. Po wielu kłopotach i trudnościach ukazał się „Almanach poezji rzeszowskiej", opatrzony gładkim wstępem Artura Międzyrzeckiego. Cytujemy: „Nie jest to prowincjonalna publikacja, którą byle wersyfikus stołeczny przyjąć miałby prawo ze wzruszeniem ramion. Nie jest to również okolicznościowa jednodniówka, wydana dzięki litościwej protekcji lokalnych władz (...). Więc nie. Stoimy wobec młodego środowiska o godnych szacunku ambicjach i niemałych dla poezji zasługach".

Są to słowa poety cenionego, mającego wysoką artystyczną rangę. Słowa moralnego poparcia, zachęty, zobowiązania, wypowiedziane trochę na wyrost. Recenzenci oprócz tęsknot twórczych, zażądali czegoś więcej i trudno im nie przyznać racji. Pisze „Kamena": „Nigdzie w całym tomiku nie dźwięczy akord buntu i chęci walki o nową treść czy formę, nigdzie w żadnym utworze nikt niczego nie żąda, nie krzyczy, nie uderza, nie grozi. Grzecznie brzmią pozytywki słów". Lenart w felietonie radia warszawskiego zwraca uwagę, że wiersze pozbawione są bogactwa spraw świata współczesnego i z rzadka pobrzmiewa głos, wymierzający sprawiedliwość otoczeniu. Znamienne, że prócz miejscowych nikt więcej nie wypowiedział się na temat „Almanachu", pozycji jakby nie było reprezentatywnej.

Peiper powiedział: „Bez idei poetyckiej nie ma nowej poezji. Idea poetycka, wyznawana przez młodego poetę może być przezeń niezbyt jasno uświadomiona, może to być rodzaj intuicji, żarliwy niepokój, domagający się wydobycia, sprecyzowania". Przyboś zaś, ojciec polskiej awangardy dorzucił: „Każda myśl naprawdę twórcza domaga się klarowności, a klarowności nie osiągnie się bez pracy, pilności, woli. Można nie mieć programu, można mieć przeciwprogram, ale zawsze trzeba mieć jakąś wizję, do czegoś zmierzać. Brak wyklarowania się takiego programu u młodych poetów".

Nic bardziej wątpliwego niż kryteria artystyczne, jednak lektura wierszy, które często możemy czytać w „Widnokręgu" i usłyszeć w rzeszowskim Radio, potwierdza w zupełności Przybosiowe słowa. Najbliższy jest poetom kraj lat dzieciństwa i cierpiętnictwo (skąd u diabła, dlaczego?!), wszelakie wschody i zachody słońca, opadanie liści, dzwony deszczu na szybach, odwoływanie się do nietykalnych wspomnień, okazji, jubileuszów. Deklaracja. Masturbacja. Kryje się pod tym pustka, obojętność, obłuda. Zmieniła się tylko forma, nowoczesność stała się obsesją. Bierze się to niekiedy ze zjawisk pozaliterackich, być może z niechęci do zuniformizowania, co nie jest zasługą dnia dzisiejszego. Zgoda. Ale nas, również próbujących pióra, martwi i oburza brak zaangażowania się społecznego młodych i nie wynikająca z własnego przekonania siła słowa. Nieobecność.

Uważny czytelnik zaobserwował, że np. w „Widnokręgu" minęła nawała poezji (czyżby w szufladach wyczerpały się zapasy?). Było jej na szpaltach niemało. Natomiast raczej nigdy nie zauważył, aby się młodzi wypowiadali pełną frazą, pełnym zdaniem, pełnym oddechem — w szkicu, publicystyce, reportażu, noweli. W słowie społecznie nieobojętnym. Ta nieobecność jest jak gdyby kucaniem na wyimaginowanych, stworzonych w micie pozycjach.

Jeżeli przed dwoma i pół laty ten i ów żywił zastrzeżenia do adekwatności przymiotnika w nazwie Klubu, było to pół biedy; istniały „sklepy — korespondenty", istniały „barobusy", „klubo-kawiarnie", rozmaite RzPTBPT i MHDAUK, to niby dlaczego nie mógłby istnieć klub „korespondencyjny" (oznaczający po prostu, że młodzież skrzykuje się za pomocą zawiadomień)? Dzisiaj co innego. Dzisiaj zupełnie nie możemy pojąć, nie tylko zresztą my, dlaczego właśnie Klub „pisarzy".

Z pożytecznego skądinąd zjawiska współczesności zaczyna się toczyć prowincjonalno-groteskowa konkurencja Związku Literatów Polskich, obliczana na epatowanie maluczkich. Od razu etykietki, a słowo pisarza nie stało się jeszcze ciałem. Rzeczywistością bywa coś innego.

Etykietka pozwoliła młodym kucać na pozycjach. Napisało się trochę słów, więc z tej racji autorytatywne spotkania autorskie z powoływaniem się marginesowym na Znajomości („Broniewski i ja"), informowanie o zamierzeniach twórczych, zadufanie, brak samokrytycyzmu, a po lokalnym uznaniu, to już zupełne całowanie klamek, i rozgrywanie swoich drobniutkich interesów. Nawet kosztem oczekiwanego środowiska.

Nie będziemy gołosłowni.

Nieporozumieniem wydaje się np. (o czym pisał kiedyś „Widnokrąg") pominięcie w „Almanachu" wierszy Janowskiego, jednego z najbardziej utalentowanych i pracowitych rzeszowskich poetów. Chociaż oddalony od wojewódzkiego centrum, Janowski, najmocniej tkwi we współczesności. Nieporozumieniem wydaje się także brak zainteresowania losami takiego np. Kulikowskiego czy Piekły, poetów o ciekawej indywidualności, ale niezaradnych życiowo. W takim kontekście zrozumiałe jest odejście Penara, sypiającego co noc gdzie indziej i dalszy odpływ, na który, jak nam wiadomo, z wielu innych powodów się zanosi: bądź co bądź, korzystniej jest być clochardem w Warszawie niż w Rzeszowie. Co trzeźwiejsi i nieobojętni wobec rzeczywistości (która się przecież dzieje i wystarczy mieć otwarte oczy!) i wobec swoich prób coraz mniej interesują się KKMP, tym drugim, niezarejestrowanym Związkiem Literatów nic obecnie nie dającym. Nie pamiętamy, kiedy się odbyło ostatnie spotkanie członków KKMP, nie pamiętamy, a pytaliśmy, o żadnej dyskusji roboczej, merytorycznej, działalność ograniczała się zazwyczaj do biadolenia i zastanawiania się gdzie upchnąć nowo napisany wiersz. Nie często spotyka się KKMP-owców na spotkaniach ze znakomitościami literatury. Proponowaną opiekę ZLP storpedowano (ambicje!). Nie istnieje zdrowa atmosfera dyskusyjna, co dużo mówić: brak prawdziwego kształcenia się.

Z mecenatem nie jest w Rzeszowie najlepiej. Ale jest oczywiste, że możliwości wyrastania na prowincji są dzisiaj bardzo duże, większe niż do tej pory. Kompleksy „prowincji" i „stolicy" pojmowane tradycyjnie, powoli zaczynają się wyrównywać. Istnienie pisma kulturalnego (własnego!), istnienie odcinków poetyckich w programie rzeszowskiego radia, otwarte dla dobrych tekstów łamy wszystkich pism — daje dzisiaj większe możliwości druku i startu literackiego. Chodzi tylko o właściwe pokierowanie losami młodzieży literackiej, o skoordynowanie wysiłków, a przede wszystkim o to, aby młodzi zdali sobie sprawę z rzeczywistości. Należy dołożyć starań, żeby nie następował odpływ. O to, żeby się stawało środowisko. Może się stać, jak powiedział Przyboś, przez pracę, pilność i wolę.

KAZIMIERZ GRZYBOWICZ
WINCENTY ZAWIRSKI

Malarz krajobrazu

W foyer Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie oglądamy kolejną wystawę plastyczną, zorganizowaną przez Biuro Wystaw Artystycznych. Autorem prac olejnych, grafik i rysunków jest Tadeusz Marian Turkowski.

Studia plastyczne odbywał on w Krakowie i Budapeszcie. Po ukończeniu nauki osiadł na stałe w Sanoku, jak sam powiada, uciekając od zgiełku dużych miast. Ten młody malarz uległ urokowi podgórskich krajobrazów, południowych miasteczek, malowniczych ich zakątków, starych, zabytkowych domów. Niemal wszystkie wystawione prace są kolorową lub dwubarwną ilustracją Rzeszowszczyzny i sąsiedniej Kielecczyzny.

Tym co sprawia, że ilustracja ta staje się dziełem plastycznym jest kompozycja i technika. Turkowski komponuje je starannie, roztaczając z daleka panoramę jakiegoś miasteczka, bądź też przybliża widza pokazując zaułek, fragment starej zabudowy miejskiej lub perspektywę ulicy. Rysunki robione czarnym tuszem na białym tle, poprawne perspektywicznie i rysunkowo mają bezprzecznie wdzięk i świeżość, ale ciekawsze pod względem artystycznym są kontrastowe drzeworyty o dobrej zwartej kompozycji. Zaskakujące pomysłowością są dwie prace wykonane stemplem. Portret dziewczynki z warkoczykami, zwyczajnie, swobodnie siedzącej z rękoma złożonymi na sukience, jest tak prosty, tak szczery i ciekawy technicznie, że zaliczyć go należy do najlepszych grafik tego malarza.

Bardziej bogato przedstawia się malarstwo olejne Turkowskiego, szkoda, że tak skąpo reprezentowane na wystawie. Tu możliwość różnicowania faktury powierzchni, dobór kolorów i ich różnorodność roztaczają większe możliwości przed artystą. W tej grupie należy wymienić, jako najlepsze prace: „Opatów V" — przedstawiający na horyzoncie panoramę miasta. Obraz malowany jest w różowawych odcieniach, bardzo ciepłych i delikatnych. Farba gładko kładziona rozlewającymi się plamami zbliża go bardzo do akwarel. W jasnych, pastelowych kolorach malowany jest „Brzozów", miła pogodna panorama, w której pierwszoplanowe domy i ich dachy posłużyły autorowi do geometryzacji kompozycyjnej dolnej płaszczyzny. Tę samą próbę, zresztą zupełnie udaną, stosuje malarz w obrazie „Lesko II". „Lesko III i IV" wyróżniają się wyszukanymi kolorami i żywą fakturą, która stwarza, że obrazy te odbiegają od martwej, poprawnej ilustracyjności, nabierając barwy, światła i życia.

Obok dobrych prac, znalazły się niestety, słabsze. Oprócz „Andromedy" wykonanej w monotypii i przyjemnej w kolorze, obrazy o tematyce mitologicznej: „Dedal", „Antiopa i Dirke" są pozbawione koloru, nieciekawe kompozycyjnie ani technicznie. Nieuzasadnione jest również reprodukowanie jednej z nich na okładce „Katalogu".

W sumie wystawa jakkolwiek nie przynosi rewelacji — jest jednak środkiem do wzbudzania zainteresowań Rzeszowszczyzną i jej malowniczym krajobrazem.

Cykl rysunków z Podkarpacia stanowi całościowy wdzięczny materiał do teki graficznej, która nie tylko usatysfakcjonowałyby miłośników polskiego południa, lecz także pomogłaby w walce z „jeleniami na rykowisku", zdobiącymi jeszcze wiele mieszkań.

TERESA ŻURAWSKA

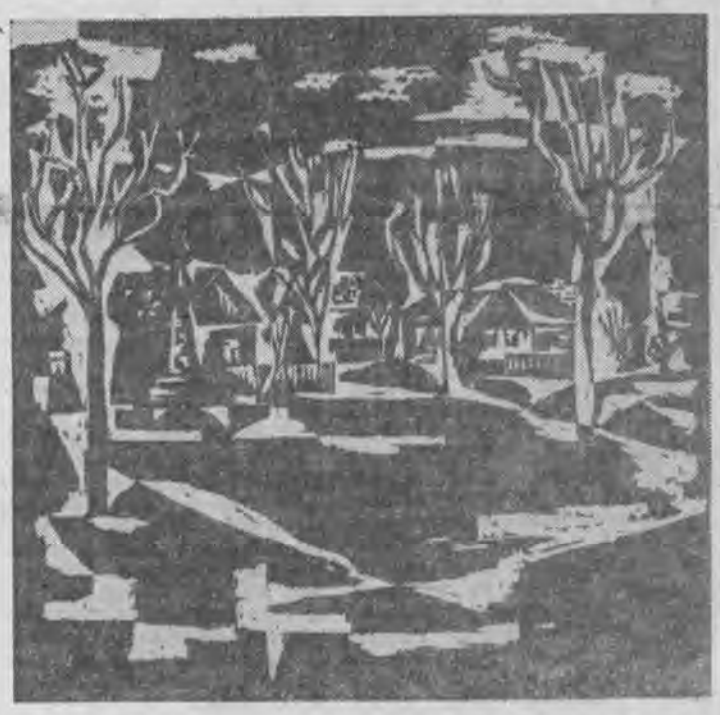

TADEUSZ TURKOWSKI — Przegląd II — drzeworyt.

siatka. Ogrodzenie jest własnością pani Apolonii. Ponieważ z biegiem czasu siatka zaczęła rdzewieć, pani Apolonia poprosiła zięcia, aby pomalował ją (oczywiście siatkę, a nie panią Apolonię) olejną farbą. Więc pewnego dnia Władysław Krypel przystąpił do pracy. Z jednej strony już pokrył ogrodzenie warstwą kolorowej farby. Zastanawiał się jednak, w jaki sposób pomalować siatkę od strony ogródka pani Katarzyny. Z góry wiedział, że sąsiadka nie pozwoli mu tam wejść. Wówczas wpadł na całkiem prosty pomysł. W rogu ogrodu delikatnie zsunął siatkę, przeszedł na drugą stronę, z kolei podniósł siatkę i trzymając się stalowych oczek oraz drutów, a stopy opierając na murku, machając pędzlem, stopniowo przesuwał się do przodu zadowolony z rezultatów roboty.

Czynność ta nie uszła uwadze pani Katarzyny. Aż ją poderwało. Niewiele się zastanawiając pchnęła córkę do Prez. MRN, że Krypel „urządza browerie" w jej własnym ogrodzie.

Przyszła komisja, lecz nie zauważyła rzekomo zdeptanej ziemi w pobliżu ogrodzenia. Wręcz odwrotnie. Śmiano się jeszcze z Krypla, że niczym cyrkowiec balansuje między drutami a murkiem, aby przypadkowo nie stanąć na klombach sąsiadki. Urażona pani Katarzyna nie dała za wygraną i wniosła skargę do Sądu o naruszenie w posiadaniu przez panią Apolonię i Władysława Krypla. Używając języka prawników, pani Katarzyna, która działała przez swojego pełnomocnika adwokata dr Bronisława Miarę ze Strzyżowa, była w tej sprawie powodem, a strony przeciwne — pozwanymi.

SCENA DRUGA

23 czerwca 1960 r. — pierwsza rozprawa. Pani Katarzyna przekonuje Sąd, że wyrządzono jej ogromną krzywdę naruszając świętą własność, co jest rzeczą o pomstę do nieba wołającą. Równocześnie żąda odszkodowania w wysokości 3 tys. złotych. Pozwani wnoszą o umorzenie sprawy, gdyż w swoim postępowaniu nie widzą nic złego, co byłoby sprzeczne z ustawami. Sąd postanawia wysłuchać świadków i odracza rozprawę.

7 lipca 1960 r. — druga rozprawa. Świadkowie zeznają na korzyść pozwanych. Adwokat powódki jest jednak innego zdania. Uważa, że naruszenie powietrza przez Władysława Krypla jest równoznaczne z naruszeniem własności pani Katarzyny.

Przypominam: spór toczy się nie w zamierzchłych czasach, lecz w wieku XX.

Sąd ogłasza wyrok, który nie może nie dziwić zarówno pozwanych, jak też i świadków. Mocą tego wyroku „Sąd zakazuje Władysławowi Kryplowi i Apolonii Górnickiej dalszego naruszania powódki Katarzyny Górnickiej w spokojnym posiadaniu realności położonej w Strzyżowie... Sąd zasądza od pozwanych solidarnie na rzecz powódki zwrot kosztów w kwocie 225 złotych".

SCENA TRZECIA

Adwokat Władysława Krypla i Apolonii Górnickiej wnosi do Sądu Wojewódzkiego w Rzeszowie rewizję od wyroku.

23 marca 1961 r. Wojewódzki Sąd Rewizyjny uznaje rewizję za słuszną i uchyla wyrok uważając, że Sąd Powiatowy w Strzyżowie popełnił wiele błędów: nie wziął przede wszystkim pod uwagę zeznań świadków, co — rzecz jasna — wpłynęło na wynik rozprawy. Sąd Wojewódzki przekazał akta Sądowi Powiatowemu do ponownego rozpatrzenia i rozpoznania.

14 września 1961 r. Sąd Powiatowy w Strzyżowie już w innym składzie orzekającym i pod innym przewodnictwem ponownie bada sprawę. Pani Katarzyna, chcąc za wszelką cenę rozprawić się z przeciwnikami, przedstawia rzekome nowe dowody, które miałyby świadczyć na jej korzyść. Oto Władysław Krypel, podobno w czasie malowania siatki, przewrócił ją na ziemię i oblał jej twarz farbą. Charakterystyczne, że na pierwszej rozprawie pani Katarzyna o tym nie mówiła.

Po naradzie Sąd ogłasza wyrok, który oddala pozew pani Katarzyny jako bezsensowny i pozbawiony słuszności. Sąd uważa, że naruszenie przez Władysława Krypla słupa powietrza nie ma nic wspólnego — jak to próbuje sugerować adwokat — z pogwałceniem prywatnej własności. Ponadto powódka musi uregulować koszty postępowania sądowego.

SCENA CZWARTA

Mecenas Miara w imieniu swej klientki zaskarżył do Sądu Wojewódzkiego wyrok w całości. Replika adwokata Miary jest niezwykle wymowna i charakterystyczna. Mocno żałuję, że z braku miejsca nie mogę podać pełnego brzmienia tego oryginalnego dokumentu. Oto obszerne wyjątki:

„...Sąd ustala, że pozwany nie naruszył powódki w posiadaniu, gdyż chodził po murku, a zatem po własności pozwanej, a nie wchodził na parcelę powódki. I tu zapomina Sąd o przepisie art. 30 prawa rzeczowego, który głosi, że własność nieruchomości obejmuje także przestrzeń nad i pod jej powierzchnią. Zatem nie trzeba wkraczać fizycznie na grunt powódki, a wystarczy wkroczyć w przestrzeń nad powierzchnią gruntu powódki..."

Nastąpiło pomieszanie pojęć. Są niedomówienia. Adwokat przytoczył tylko fragmencik artykułu 30 prawa rzeczowego, który brzmi: „Własność nieruchomości obejmuje także przestrzeń nad i pod jej powierzchnią. Jednakże właściciel nie może sprzeciwiać się działaniom dokonywanym na takiej wysokości lub z takiej głębokości, że nie zagraża jego uzasadnionym interesom".

Wszystko chyba już jasne. Idźmy jednak dalej.

„...Sąd przyjmuje, że pozwany chodził po murku. Murek według zeznania samego pozwanego ma 25 cm szerokości, w środku tej szerokości umieszczone są słupki i siatka. Zatem na chodzenie po murku pozostawała w najlepszym razie szerokość 10 cm, bo 5 cm muszą zająć słupki i siatka. Gdyby pozwany przylepił się brzuchem plackiem do siatki, to musiał co najmniej 30 cm wkroczyć w sferę powietrzną nad gruntem powódki, zatem wkroczył w jej własność. Ale przecież pozwany malował płot, zatem nie mógł plackiem przylegać do siatki i musiał się ruszać, zatem pozwany musiał co najmniej około metra na szeroko naruszyć własność powódki w rozumieniu art. 30 prawa rzeczowego..."

To jeszcze nie wszystko.

„...Przecież krzewy musiały być pochlapane farbą, bo jeśli dotykały do siatki, skoro pozwana je wycinała, to musiały być pochlapane. A również każdemu wiadomo, że przy malowaniu musi się pochlapać przestrzeń naokoło, bo to następstwo malowania i chlapania farbą..."

Nie koniec jednak na tym.

„...Sąd powołuje się, że świadkowie: Kuch, Urbanik, Pasternak i

(Ciąg dalszy na str. 4)

WŁADYSŁAW LUBAŚ

I Czudec coś znaczy

W dwóch artykułach zamieszczonych w „Widnokręgu" o nazwach miejscowych (Jasło i Krosno) zwracaliśmy uwagę na trudności, jakie się wyłaniają przy analizie znaczeniowej nazw geograficznych, zwłaszcza tych starych, ukształtowanych przed setkami lat. Najstarsze okazują się nazwy rzek i to tych większych, ale nie wyłącznie, bo czasem także mała rzeka legitymuje się prastarym nazwiskiem (np. Jasiołka, dawniej Jasioł). Ale i nazwy miast, miasteczek i wsi sięgają niekiedy w zamierzchłą przeszłość. Zwykło się wiek osad określać na podstawie dochowanych do naszych czasów dokumentów historycznych, które poświadczają jakieś zdarzenie dotyczące interesującej nas miejscowości. Bardzo często nazwa dostaje się do dokumentu zupełnie przypadkowo i nie można jej wieku określać wyłącznie w oparciu o datę zapisu, ale też innej metody ścisłego datowania nie ma, trzeba więc pozostać przy dotychczasowej jako jedynej — sprawdzalnej historycznie.

Czudec, chociaż nie należy do osad dużych, to przecież w przeszłość sięga daleko. W średniowieczu oprócz dzisiejszej nazwy spotyka się także Czucz. Dla dzisiejszego poczucia językowego ani jedna, ani druga forma na pierwszy rzut oka nic nie mówi. Polak posługujący się językiem literackim nie zwiąże tej nazwy z żadnym ze znanych mu współcześnie wyrazów, tak jak to uczyni z nazwami Dębica (dąb), Zagórze (za górą), Stalowa Wola (stal i wola). Trzeba więc, analizując tę nazwę, odwołać się całkowicie do faktów historycznojęzykowych, chociaż związek ze współczesnym językiem nie jest głęboko ukryty.

Przystępując do objaśnienia jakiejkolwiek nazwy, należy przede wszystkim przyglądnąć się jej budowie słowotwórczej, to znaczy wyszukać tę część, która zawiera podstawowe znaczenie (tzw. rdzeń) i ewentualne przyrostki lub przedrostki, które modyfikują znaczenie zawarte w rdzeniu. W Czudcu znajdziemy rdzeń czud — i przyrostek — ec. Teraz wyszukanie znaczenia okazuje się już łatwiejsze. Czud — niewątpliwie nawiązuje do znanego dzisiaj wyrazu cud, który niekiedy w innych znaczeniach przyjmuje postać czud, np. czudak, czudo (znane w gwarach). Z historii języka polskiego wiadomo, że dzisiejszy cud brzmiał dawniej czud, czudo. Tak więc od strony wyglądu fonetycznego, wszystko byłoby w porządku, ale co by znaczyła nazwa miejscowości z rdzeniem o znaczeniu cud? Czyżby to było miejsce, gdzie zdarzył się jakiś cud? O ile mi wiadomo, nie ma legendy wiążącej nazwę tej miejscowości z cudownym zdarzeniem. Zresztą nawet gdyby istniało takie podanie, to i tak niczego by nie wyjaśniało. Należy zatem szukać innej drogi objaśnienia. Przyglądając się innym nazwom miejscowym, stwierdzamy, że wiele z nich zawiera nazwy osobowe z dodaniem przyrostków czy tylko jednego przyrostka. O przykłady nietrudno choćby z województwa rzeszowskiego; Dobrzechów (od imienia Dobrzech), Przemyśl (od Przemysła), Jarosław (od Jarosława). Otóż i w naszym Czudcu bez trudu wykryjemy domniemane imię Czudek, które, chociaż nie notowane w staropolskich dokumentach historycznych, to przecież znane w tej i w innych postaciach jako przezwisko w dialektach, np. Czudek, Czudak (Cudok, co cuduje) mogło się stać podstawą dla uformowania nazwy. Zmiana Czudek w Czudecz, a następnie w Czudec, dokonała się w bardzo dawnych czasach przez dodanie do imienia Czudek przyrostka zmieniającego spółgłoskę twardą w miękką, a więc k w cz (podobnie w Przemyślu końcowe ł zamieniono w l, a w Jarosławiu końcowe w w wi, co widać dzisiaj tylko w odmianie: imię Jarosław, Jarosława, a nazwa miejscowa Jarosław, Jarosławia). Zmiana końcowego k w cz: Czudek — Czudecz powodowała równocześnie zmianę znaczenia imienia. Czudecz to już było miejsce (miejscowość, osada), które należało do Czudka, które było jego własnością, tak jak Przemyśl i Jarosław były własnością (grodem) Przemysła i Jarosława.

Interesujące jest dalej, może już tylko dla historyka i historyka języka, w jaki sposób powstała średniowieczna forma Czucz, dlaczego pierwotne Czudecz zamieniło się w dzisiejsze Czudec? Odpowiedź na te pytania przynosi gramatyka historyczna. Otóż Czudecz odmieniał się w następujący sposób: Czudecz, Czudcza, Czudczu, Czudczem, w Czudczu. W całej odmianie tylko w mianowniku występowała forma Cudecz, we wszystkich zaś innych przypadkach temat powtarzał się w postaci: Czudcz. Ten temat z kolei, ponieważ przewyższał liczebnie, przeniesiono do mianownika, upraszczając poza tym grupę dcz w cz. Tak powstała forma Czucz. Zmiana zaś końcowego cz w Czudecz w dzisiejsze — c (Czudec) tłumaczy się tzw. rozpodobnieniem dwóch spółgłosek występujących w tym samym wyrazie, na początku bowiem i na końcu występowało cz, wobec czego jedno zamieniono w — c.

Z powyższych uwag widać, że Czudec reprezentuje ciekawy przykład rozwoju nazwy miejscowej, dość trudnej do zrozumienia na pierwszy rzut oka, ale bardzo przejrzystej i jasnej w świetle faktów historycznych. Gdybyśmy nawet nie znaleźli starych zapisów w dokumentach poświadczających istnienie miasta w średniowieczu, to na podstawie samej tylko budowy słowotwórczej potwierdzono by jej dawność.

TADEUSZ CZARNOWSKI — aktor Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

Grigorij Czuchraj w Warszawie

Wybitny radziecki reżyser filmowy Grigorij Czuchraj przybył do Warszawy i rozpoczął już wraz z Andrzejem Wajdą i scenarzystą filmu „Ballada o żołnierzu" — Walentinem Jeżowem, pracę nad scenariuszem filmu o wspólnych walkach partyzantów polskich i radzieckich z hitlerowskim najeźdźcą w okresie ostatniej wojny. Realizację tego filmu podejmie A. Wajda. Obsada będzie się składać z aktorów polskich i radzieckich.

Projekt współpracy filmowej zrodził się przed kilku miesiącami, w czasie pobytu Andrzeja Wajdy w Moskwie. Kiedy Grigorij Czuchraj i Walentin Jeżow dowiedzieli się, że twórca „Popiołu i diamentu" ma zamiar nakręcić film o walkach partyzantów polskich i radzieckich z hitlerowskim najeźdźcą, zaproponowali mu współudział przy pisaniu scenariusza. Wajda z dużym zadowoleniem przyjął tę propozycję. Obecnie Czuchraj i Jeżow są już w Warszawie.

Przedstawiciel PAP spotkał obu radzieckich filmowców w klubie SPATiF-u. — Nie chciałbym wiele mówić na temat scenariusza — mówi G. Czuchraj — ponieważ pracę nad nim dopiero z Wajdą rozpoczęliśmy. Wraz z Jeżowem pragnąłbym wnieść wkład, zwłaszcza do „radzieckiej" części opowiadania. Bohaterami filmu będą przecież dwa oddziały partyzanckie — polski i radziecki, działające na ziemiach okupowanej Polski. Obecnie dyskutujemy nad koncepcją filmu, omawiamy wstępnie węzłowe sytuacje i postacie.

Zapytany o własne plany reżyserskie, G. Czuchraj nie chce ich ujawniać, dopóki nie zdecyduje się na jeden z kilku projektów. Twórca „Ballady o żołnierzu" wysoko ocenia ostatni okres w radzieckiej kinematografii. Szeroką falą wchodzą na arenę młodzi realizatorzy, którzy nadają ton całej twórczości. „Dziecko wojny" Tarkowskiego, „Dziewczęta" Czełukina — to znakomite, w pełni dojrzałe dzieła.

Przy pisaniu scenariusza tandem autorów oprze się na książce „Kres", której autora — Jerzego Przeździeckiego zaproszono również do współpracy.

Zdarzenia tygodnia

Międzywojewódzka wymiana artystyczna nabiera coraz wyraźniejszych rozmiarów. We wrześniu na tourneé po województwie szczecińskim przebywał zespół estradowy Związku Zawodowego Pracowników Handlu i Spółdzielczości. Przed tygodniem bawił w Lublinie Zespół Pieśni i Tańca Zakładowego Domu Kultury w Stalowej Woli, a w ramach wymiany w mieście tym wystąpił ostatnio 100-osobowy chór oraz orkiestra z Białej Podlaskiej i Końskiej Woli.

Artyści amatorzy z Lubelszczyzny popularyzowali w swoich programach piękny folklor tego regionu. Podobała się szczególnie inscenizacja „Legendy wiślańskiej" oraz „Wesela lubelskiego".

Należy nadmienić, że w sobotę 24 bm. w ramach programu imprez organizowanych z okazji V Kongresu Związków Zawodowych wystąpi w Rzeszowie 130-osobowy Zespół Pieśni i Tańca Zakładowego Domu Kultury ze Stalowej Woli.

• • •

Z okazji Dnia Karty Nauczyciela odbyła się w Powiatowym Domu Kultury w Jarosławiu wojewódzka impreza, w czasie której zostali odznaczeni i nagrodzeni nauczycieli szkół artystycznych województwa rzeszowskiego. M. in. nagrody otrzymali: Henryk Paraniak, dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Jarosławiu, Józef Dziedzic, nauczyciel Średniej Szkoły Muzycznej w Rzeszowie, Lidia Nartowska, popularyzatorka tańców rzeszowskich.

W części artystycznej wystąpili absolwenci Państwowej Szkoły Muzycznej w Jarosławiu — Anna Szykowna, Jerzy Horwath, Julian Pacuła, Władysław Woś, Janina Skonieczny i Jerzy Kalinowski.

• • •

Z okazji wojewódzkiego zlotu młodzieżowych zespołów przysposobienia spółdzielczego, zorganizowanego staraniem Zarządu Wojewódzkiego ZMW i Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", w salach Uniwersytetu Ludowego ZMW we Wzdowie wystąpił zespół estradowy ZW ZMW.

• • •

W programie imprez, zorganizowanych z okazji zbliżającego się V Kongresu Związków Zawodowych, w sali Kolejarza w Rzeszowie wystąpił zespół estradowy Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Bubel".

• • •

W grudniu mija 10 lat działalności amatorskiego studia operowego przy Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie. W ciągu tego czasu Studio wystawiło 10 oper, m. in. „Halkę", „Krakowiaków i Górali", „Toscę", „Zaporożca", „Zamek na Czorsztynie".

Z okazji dziesięciolecia, na połowę przyszłego miesiąca, Wojewódzki Dom Kultury przygotowuje jubileuszowe przedstawienie, na które złożą się najciekawsze fragmenty kilku sztuk operowych.

WIDNOKRĄG odpowiada

DAN X: — Naprawdę nie wiemy o co Panu chodzi w wierszach, które otrzymaliśmy. Pisze Pan: „Dano mi nicość spijającą co rozplata pożądań poznania"... albo... „przedwcześnie zimna przygarnięta widzeniem bez rozwiązania"... Należy dążyć do jednoznaczności i większej precyzji sformułowań. Na razie to jest jeszcze „nieartykułowane gaworzenie", mimo iż czasem pojawiają się w tych utworach ładne fragmenciki.

M. P. — PRZEMYŚL: Wiersz „Powitanie córki" zgrabny i dość kulturalny. Dobrze świadczy o wyobraźni i o kulturze literackiej autora. Można by go drukować na przykład w „Płomyku" i radzimy Panu nawiązać kontakt z tym pismem. My nie skorzystamy — wiersz ma wyraźnie charakter utworu dla młodzieży.

J. K. „Próby" oczywiście nie nadają się do druku, ale nie należy się tym przejmować. To chyba dobra droga do poezji. Na razie jak najwięcej takich etiud i prób ćwiczebnych — później można będzie z powodzeniem przystąpić do konstrukcji pełnowartościowych utworów poetyckich.

JÓZEF WINIARSKI: Prosimy o podanie swojego adresu.

J. B. — ŻURAWICA; W. W. PRZEMYŚL: Niestety, nie zajmujemy się oceną wierszy uczniów szkół podstawowych.

J. K. JASŁO: Z wiersza „Złoty Październik" nie skorzystaliśmy, gdyż nie ma on wartości artystycznych.

„COWBOY Z SARZYNY". To jest dopiero opisywanie do rymu jakichś tam spraw — droga do poezji stąd jeszcze daleka. Proszę czytać dużo dobrych wierszy Tuwima, Gałczyńskiego czy Broniewskiego — zorientuje się Pan, gdzie leży sedno sprawy.

Ja cię nauczę...

(Ciąg dalszy ze str. 3)

Kiczek nie widzieli szkód w ogrodzie powódki. Przede wszystkim przyszli po kilku dniach, po deszczu, to krzewy już się podniosły. Kuch i Urbanik stali na drodze i nawet do ogrodu nie weszli, to nie mogli nic widzieć. A przecież nawet już tak późno po wdarciu się do ogrodu widzieli wyrwaną siatkę i wydeptany w rogu ogród..."

Więc jak to jest, panie mecenasie: byli w tym ogrodzie czy nie byli? Widzieli jakieś ślady czy nie widzieli?

„...Gdyby pozwana nie była wdową — czytamy dalej — i miała silnego męża lub syna, to na pewno pozwany musiałby być grzecznym i poprosiłby o pozwolenie wejścia do ogrodu. A tak, widząc przed sobą starą i słabą niewiastę, wyżywał się w samowolnym działaniu, licząc, że siłą przewyższał swoją ofiarę, to jest powódkę, zatem mógł robić wszystko, co mu się podobało..."

I wreszcie końcowy akord.

„...Czy brutalna siła fizyczna ma rządzić między obywatelami? Przecież pozwani mogli malować siatkę ze swej strony przez siatkę..."

Mogli? W oczku siatki z trudem zmieszczą się trzy palce. Niech więc pan mecenas dokona takiej sztuki!

SCENA PIĄTA

9 marca 1962 r. Sąd Wojewódzki oddala rewizję powódki i zasądza od niej zwrot kosztów postępowania rewizyjnego. Sąd Rewizyjny nie widzi w działaniu pozwanych jakiegokolwiek naruszenia art. 30 prawa rzeczowego. Wyrok jest prawomocny.

Wreszcie.

PROLOG

Czytelnicy powiedzą, że jest to typowe pieniactwo. Na pewno. Chociaż raczej nietypowe. Po prostu taki sobie nonsens. Nonsens, zrodzony z zawiści ludzkiej. Tylko, że podobnych nonsensów jest w sądach bardzo dużo. Przynajmniej w powiecie strzyżowskim. Ludzie procesują się o byle co, o głupstwo. Niejednokrotnie wyraźnie pomagają im adwokaci.

W tym samym powiecie, w Butczy, już od 1959 roku trwa spór między dwiema rodzinami o ścięty dąb i sosnę. Drzewo zostało podarowane na budowę kościoła przez jedną z rodzin, która twierdzi, że było jej własnością. Strona przeciwna protestuje. Oponenci raz po raz sprowadzają komisje, które za każdym razem ustalają na czyim polu rósł dąb i sosna. Ponieważ wyniki pomiarów nie są zgodne z ich pobożnym życzeniem, rola sądu ogranicza się tylko do zwoływania wciąż nowych komisji. Oczywiście na życzenie stron, które za każdym razem „bulą" po kilka tysięcy złotych. Wartość ściętego drzewa oszacowano na kwotę 5.188.62 zł. Koszty komisji, diet, taksówek przekroczyły już sumę 15.000 złotych, nie licząc pieniędzy wydanych na opłacenie adwokatów. Ile jeszcze w tej sprawie będzie w Lutczy komisji — nie wiadomo. Wiadomo jednak, że rozprawy rujnują bezpośrednio zainteresowanych. Pozwany Józef Biel mieszka w tak nędznej chacie, że ściany, dach i okna trzymają się kupy na słowo honoru. W domu bieda aż piszczy. Biel jest chory i nie ma na lekarza. Wszystkie oszczędności zjadły spory. Co będzie dalej? Chłopi pytają go w ten sposób. Biel odpowiada niezmiennie: „Ja ich nauczę". Ich, to znaczy przeciwników, którzy złożyli na niego skargę.

Tu zresztą nie chodzi tylko o ścięte drzewo, które w tej sprawie jest raczej marginesem. To jest walka o honor. Kto bardziej przysłużył się Bogu, kto faktycznie dał drzewo na kościół: Biel czy jego przeciwnicy.

W tym wypadku zawinił przede wszystkim Sąd. W zasadzie każda komisja złożona z geodetów przedkłada Sądowi identyczne wyniki pomiarów. Jeżeli są jakieś różnice, to najwyżej milimetrowe. Nie ma więc sensu powoływanie wciąż nowych komisji, które niejednokrotnie wyciągają z kieszeni chłopów ostatnie złotówki. Innego wyjścia nie ma. Trudno bowiem tłumaczyć J. Bielowi, aby dał sobie wreszcie spokój. Trudno, bo był i jest on częstym gościem Sądu. Rozprawy to jego żywioł, pasja, konik, i takiego nic już nie przekona.

Opowiadał mi prokurator strzyżowski Kazimierz Rojowski, że właśnie w wyniku takich długotrwałych sporów pieniaczych, cały majątek jednej z rodzin chłopskich z Szufnarowej pójdzie teraz pod młotek licytacyjny. Chyba ten przykład najdobitniej świadczy do czego prowadzi zaślepiona zawiść ludzka, której władze, przede wszystkim sądowe, jak dotychczas, nie potrafią skutecznie przeciwdziałać.

Sprawy sądowe z oskarżenia prywatnego wciąż jeszcze zajmują Temidzie najwięcej czasu. Rzeszowskie wiedzie prym pod tym względem. Liczba spraw prywatno-skargowych w naszym województwie przekazanych sądom wynosi średnio ponad 40 proc., biorąc pod uwagę wszystkie sprawy rozpatrywane przez Sąd. Nie lepiej jest w innych województwach, zwłaszcza w kieleckim i lubelskim. Na wokandy sądowe nadal wpływają tysiące spraw błahych, pieniaczych. Prasa bije na alarm. Postuluje się m. in., aby właśnie takimi drobnymi konfliktami zajęły się w miastach komitety blokowe, a na wsi sądy obywatelskie, które mogłyby odegrać poważną rolę mediacyjną w sporach między ludźmi.

Postulat jak najbardziej realny i słuszny, i chyba dojrzał do tego, aby podjąć już jakieś kroki. Niemałą rolę w regulowaniu tych spraw mogłiby odegrać adwokaci. Niestety, zbyt jeszcze często, wbrew etyce adwokackiej, ten i ów „mecenas" zamiast przeciwstawić się pieniactwu, jeszcze je podsyca. Jest to nic innego jak żerowanie na naiwności ludzkiej, co — rzecz jasna — przynosi szkodę i ujmę wielu uczciwym adwokatom.

W każdym bądź razie stałem się teraz ostrożniejszy. Oddycham ukradkiem, aby nikt nie widział. Na wszelki wypadek. Może się bowiem zdarzyć, że ktoś zaskarży mnie do Sądu, iż kradnę jego powietrze. Mówicie, że nie znajdzie się taki adwokat, który by podjął się prowadzenia tej sprawy? Nie wiem.

E. WISZ

Wydaje Wydawnictwo [illegible] „Rzeszowskie" — [illegible] „Prasa". Adres redakcji Rzeszów, ul. Żwirskiego 5. Telefony redakcji [illegible] redaktora naczelnego [illegible] redaktorów [illegible]